

M.B. MANN

Dwa Kamyki
od szczęścia

Bliss

M.B. MANN



Dwa Kamyki od szczęścia



Bliss

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Ewelina Czajkowska

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Agata Łuksza

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2026 by M.B. Mann

Copyright © 2026, Bliss an imprint of Wydawnictwo KobiECE

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-478-4

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



Bliss

1

Jamie

*Her whole world's come undone
From lookin' straight at the sun
What did her daddy do?
What did he put you through?*

– Aerosmith, *Janie's Got a Gun*

– Proszę cię, Jake! Jamie wszystko słyszy. Uspokój się dla dobra własnej córki!

Rozpaczliwe błagania mamy trwały już z pół godziny. Siedziałam w swoim pokoju przy uchylonych drzwiach i nerwowo śledziłam paznokciem linie, które mama co roku kreśliła na futrynie, by sprawdzić, ile udało mi się urosnąć.

– To jest moja córka! I dobrze o tym wiesz!

Pijacki bełkot ojca sprawił, że mój paznokieć boleśnie się podwinął – docisnęłam palec zbyt mocno do twardego drewna. Syknęłam, starając się przekonać samą siebie, że łzy, które wzbierały w moich oczach, były wynikiem bólu palca, a nie słów ojca.

Wstrzymałam oddech, gdy do moich uszu doszedł odgłos plasknięcia. Doskonale wiedziałam, co on oznacza. Mama właśnie dostała w twarz.

– Ty cholerna dziwko!!!

Krzyk ojca sprawił, że zerwałam się z dywanu. Wypadłam na korytarz, a potem zbiegłam schodami i zatrzymałam się w drzwiach kuchni. Mama stała w kącie, uniesionymi dłońmi starała się ochronić twarz. Przez odgłosy posapywania, uderzeń i gardłowego jęczenia zrobiło mi się niedobrze, musiałam oprzeć się o ścianę. Wbiłam paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni i z przerażeniem obserwowałam, jak tata okłada mamę ze wszystkich sił. Czułam się jak sparaliżowana, nie mogłam ruszyć nawet małym palcem. Strach dociskał mnie do ściany, zmuszał do biernego obserwowania kolejnej awantury, kolejnej bijatyki, kolejnego terroru...

W końcu się ocknęłam. Podbiegłam do szarpiących się rodziców, złapałam ojca od tyłu w pasie i krzyknęłam:

– Tato, proszę cię! Puść ją! Puść! Robisz jej krzywdę!

Ledwie skończyłam dziesięć lat. Nie miałam z nim szans. Gdy złapał mnie za przedramię, jęknęłam z bólu, a potem ugięły się pode mną nogi. Zaczerwienione i z całą pewnością szalone oczy ojca patrzyły wprost na mnie. Na jego twarzy rysowało się czyste obrzydzenie.

– Nie nazywaj mnie tak – wycharczał. – Nigdy mnie tak nie nazywaj!

Świat wokół mnie zawirował, a potem poczułam jeszcze większy ból. Wszędzie. W biodrze, ramieniu, policzku.

– Jake! Jake, na litość boską!!! – Głos mamy był dziwnie zniekształcony. – Puść ją! Puszczaj!

Coś huknęło, zazgrzytało, a potem poczułam na twarzy chłodne dłonie.

– Jamie? Jamie, skarbie, słyszysz mnie?

Uniosłam powieki i zobaczyłam twarz mamy. Jej oko zaczęło już puchnąć. Zaszlochałam, a ona objęła mnie ciasno.

– Przepraszam... Przepraszam, kochanie... – szeptała, kołysząc mnie na boki.

Tak jakby to ona była czemukolwiek winna...

Nasze życie nie zawsze tak wyglądało. Kiedyś byliśmy szczęśliwi. Chodziliśmy do parku i jedliśmy naleśniki w kształcie kaktusów. Ojciec... był tatą. Uśmiechniętym, uwielbiającym bawić się ze mną w berka tatą. A potem coś się stało. Stracił pracę i musieliśmy się przeprowadzić. W naszym nowym domu coraz częściej było czuć zapach alkoholu i słyszeć krzyki.

Tata stał się ojcem. I nic już nie było takie samo.

A teraz utracił nawet to.

Już nie był ojcem.

Był nim.

I tak miało pozostać już na zawsze.



Spojrzałam za okno i odetchnęłam głębiej. Kilka minut po tym, jak on wyszedł, mama spakowała dwie małe walizki. Wskoczyłyśmy do auta bez oglądania się za siebie. Im dalej byłyśmy od domu, tym łatwiej mi się oddychało.

– Jamie, jesteście na miejscu. – Głos mamy wciąż drżał.

Kiwnęłam głową i odpięłam pas. Spojrzałam na wysoką, lekko podniszczoną kamienicę, w której mieszkała ciocia Margo, przyjaciółka mamy jeszcze z podobno szalonych studenckich czasów. Kobieta schodziła akurat z ostatnich stopni schodów. Kiedy nas zobaczyła, zakryła usta dłonią.

– Patty, jak ty wyglądasz! I Jamie... – Zacisnęła usta, a w jej oczach błysnęła złość. – Musisz z tym skończyć, Patt. I to natychmiast! – warknęła. – Albo ja skończę z nim.

– Proszę, nie przy Jamie – szepnęła mama.

Ciocia pokiwała głową, jej oczy złagodniały, po czym przytuliła mamę i mnie. Zacisnęłam palce na jej kwiecistej sukience i zamknęłam oczy. Nie chciałam znowu płakać.

– Wejdz na górę, kochanie, drzwi są otwarte. My zaraz przyjdziemy. – Uśmiechnęła się, a potem puściła do mnie oko. – W kredensie są ciasteczka z marmoladą, wiem, jak je lubisz.

Przełknęłam ślinę i pokiwałam głową, choć wcale nie miałam ochoty na słodycze. Złapałam za walizkę, w której znajdowało się kilka moich bluz i par spodni, a także Pan Wąsik, mój ukochany pluszak, i zaczęłam się wspinać po schodach.

Mama powiedziała, że zatrzymamy się u cioci na kilka dni. Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że zostaniemy tu na zawsze. Nie chciałam wracać do domu, do niego. Nie chciałam go już nigdy więcej widzieć.

Syknęłam, gdy moje ramię otarło się o framugę drzwi. W samochodzie udało mi się na nie zerknąć, gdy mama była zajęta sprawdzaniem nawigacji. Siniak wielkości grejpfruta zaczynał przybierać barwę malowniczego fioletu, takiego samego, jaki widniał na maminej twarzy.

Usiadłam na kanapie w salonie, lekko krzywiąc się z bólu, i zaczęłam się rozglądać. Ciocia Margo kochała kwiaty, miała je dosłownie w każdym kącie pokoju, przez co czułam się tu jak w dżungli. Uśmiechnęłam się smutno i wyciągnęłam rękę, aby dotknąć jednego z ogromnych zielonych liści. Poczulałam, jak po policzku spływa mi łza.

A potem następna i następna, i następna...

Nie mogłam ich kontrolować. Przyłożyłam dłoń do ust, aby stłumić szloch. Resztką sił, która jeszcze niedawno tliła się w moim ciele, zgasła. Zniosłam się płaczem i docisnęłam do piersi Pana Wąsika. Tak strasznie się bałam, że tym razem on nie przestanie, że zabije mamę, a potem mnie. Obrzydzenie na jego twarzy, gdy na mnie patrzył, wyrzyło się w moim umyśle – nie miałam pojęcia, co takiego zrobiłam, czym sobie zasłużyłam na taką nienawiść.

Wykończona, skuliłam się na kanapie i pociągnęłam nosem. Jechałyśmy do cioci Margo całą noc. Mama nalegała, abym się

zdrzemnęła, ale nie potrafiłam zamknąć oczu. Po części ze strachu, że mama zmieni zdanie i zawróci, a po części dlatego, że jego twarz na pewno wróciłaby do mnie w sennych koszmarach. Zawsze tak się działo.

Otarłam mokry policzek i zacisnęłam dłonie. Po zaczerpnięciu głębokiego oddechu postanowiłam wziąć się w garść. On nie był wart moich łez, nie mogłam okazywać słabości – strach był jak czerwona nitka, która pozwalała mu mnie znaleźć.

A ja nie mogłam zostawiać żadnych śladów.

W nocy mimo zmęczenia dalej nie potrafiłam zasnąć. Leżałam w łóżku z mamą i nasłuchiwałam. Byłam w stanie ciągłej gotowości. Szykowałam się na najgorsze.

– Przepraszam cię, skarbie – szeptała mi mama do ucha, a jej dłoń przeczesawała delikatnie moje włosy. – Obiecuję ci, że to się nigdy więcej nie powtórzy.

Przełknęłam ślinę, a potem uniosłam wzrok na jej twarz.

– Nie wrócimy do niego? – zapytałam.

Mama zacisnęła usta, a po jej policzku spłynęła łza. Przytuliła mnie, a potem zaszlochała.

– Nie. Obiecuję, że do niego nie wrócimy – powiedziała cicho, całując czubek mojej głowy.



– Jamie, skarbie, słuchasz mnie?

Ciocia Margo siedziała po drugiej stronie stołu, a ja grzebałam bezwiednie w przygotowanym przez nią śniadaniu. Na chwilę odplynęłam myślami – nie miałam pojęcia, co wcześniej do mnie powiedziała – dlatego chrząknęłam i z zakłopotaniem pokręciłam głową.

– Zamyśliłam się, przepraszam – szepnęłam.

Błękitne oczy ciocia spojrzały na mnie ze współczuciem.

– Pytałam, czy miałabyś ochotę wybrać się ze mną na spacer – odparła, a zaraz potem się uśmiechnęła.

– A mama?

Ciocia Margo wstała od stołu, zabrała pusty kubek po kawie i podeszła do zlewu.

– Mama wróci dopiero po południu – rzuciła lekko, ale wyłapałam w jej głosie drżenie.

Słyszałam ich rozmowę z rana. Mama wybierała się do lekarza, a potem na policję. Płakała, płakała tak głośno i rozpaczliwie, że i mnie zacisnęło się gardło. Czułam jej ból, strach i zagubienie. Przeżywałam to samo.

– Możesz zabrać Pana Wąsika – powiedziała ciocia, a ja ponownie się zawstydziałam.

Pan Wąsik był starą, nieco już nadgryzioną zębem czasu maskotką, która była ze mną, od kiedy tylko sięgałam pamięcią. Słuchał mojego płaczu i szeptanych prośb, pozwalał się przytulać i tarmosić, gdy krzyki z dołu sprawiały, że cała się trzęsłam.

W końcu skinęłam głową i wstałam od stołu. Złapałam za wysłużoną zabawkę, którą kochałam całym sercem, i schowałam ją do kieszeni płaszczka. Obserwowałam w milczeniu, jak ciocia szykuje się na spacer. Czesła swoje długie jasne włosy, malowała usta pomadką i spryskiwała nadgarstki perfumami, które pachniały słodko i kwiatowo.

– Podobają ci się? – zapytała, gdy dostrzegła, że spoglądałam na mały flakonik. – Chodź, popsikam i ciebie.

Znowu uśmiechnęła się ciepło, a zaraz potem puściła do mnie oko. Ciocia była kwintesencją kobiecości i czegoś ciepłego oraz bezpiecznego. Uwielbiałam obserwować, jak robi makijaż czy układa włosy. Jej kwieciste sukienki targał wiatr, sprawiając, że wzorzysty materiał ożywał. Była jak kolorowy ptak, głośny i zawsze radosny.

Ciocia Margo była symbolem wolności, radości i wyzwolenia.

Chciałam być jak ona.

– Nie wiem, czy mama ci o tym opowiadała, ale mój dziadek pochodził z Australii. Gdy byłam w twoim wieku, jeździłam tam w każde lato. Dziadek miał ranczo z setką, jak nie tysiącem owiec. – Zaśmiała się pod nosem, a potem ujęła moją dłoń. – Beczały jak głupie i nikogo nie słuchały.

Zadarłam głowę, aby się jej przyjrzeć. Mgliście kojarzyłam, gdzie leży Australia – wydawała się nie tylko niesamowicie odległa, ale i egzotyczna.

– Już tam nie jeździsz? – zapytałam, a ciocia pokręciła głową. Przeszliśmy przez ulicę i weszliśmy do pobliskiego parku.

– Nie. Dziadek zmarł niedługo po moich dwunastych urodzinach. Ranczo zostało sprzedane i nie było już do kogo ani do czego przyjeżdżać. – Jej oczy posmutniały. Ścisnęłam jej dłoń, a ona obdarowała mnie kolejnym uśmiechem. – Dziadek miał gosposię, a ona córkę. Mogła być ze dwa lata ode mnie starsza. Miała śmieszne imię: Pengana. Do dziś pamiętam, jak zazdrościłam jej pięknych kruczoczarnych włosów. – Słyszmy wybrukowaną kocimi łbami ścieżką, a ja słuchałam opowieści z wielkim zainteresowaniem. – Pengana była w połowie Aborygenką.

– Kim? – spytałam, ściągając brwi.

– To rodowici mieszkańcy Australii – wyjaśniła ciocia. – Opowiadała mi stare legendy i baśnie, pokazywała zioła, którymi raczyli się jej krewni. Wtajemniczyła mnie też w pewną tradycję swoich przodków.

Stanęłyśmy przy obrośniętym wysoką trawą stawie. Ciocia zapatrzyła się na falującą taflę wody, a ja na nią. Byłam tylko dzieckiem, nie zawsze potrafiłam zrozumieć dorosłych, ale wiedziałam, że w tym momencie ciocia jest smutna.

– Aby rozpowszechnić dobro, Pengana i inne dzieci malowały kamienie z pobliskiej rzeki – szepnęła, wciąż patrząc na

wodę. – Potem zostawiały je w różnych miejscach, tak aby mogły być one znalezione przez kogoś innego. Dobro wracało do osoby, która pomalowała kamień, i odnajdywało drogę do tej, która ten kamień znalazła.

Ciocia sięgnęła do kieszeni i coś z niej wyciągnęła. Otworzyła dłoń, a moim oczom ukazał się zielononiebieski kamień.

– Co potem działo się z kamieniem? – zapytałam, przyglądając się kolorowemu otoczakowi.

– To zależy. Jeżeli był przy nim liścik, robiono to, czego życzył sobie autor. Jeśli jednak nie było instrukcji, zostawiało się kamień w miejscu, w którym leżał, a potem samemu malowało się inny i zostawiało go gdzieś, tak aby szczęście odnalazło kolejną osobę.

– Czy sama znalazłaś taki kamień? – zapytałam z mocno bijącym sercem, a kiedy ciocia pokiwała głową, dodałam: – I kamień, który znalazłaś, przyniósł ci szczęście?

Uniosłam spojrzenie na twarz cioci Margo i głośno przelknęłam ślinę. Mama i ja tak bardzo potrzebowałyśmy szczęścia.

– Tak – odparła. – Dlatego teraz zostawiam kamienie w każde urodziny Pengany. – Ciocia ponownie się uśmiechnęła, ale jej jasne oczy pozostały smutne. – Chciałabyś też zrobić taki kamyk, a potem zostawić go w tym parku?

– Tak! – odparłam, entuzjastycznie kiwając głową.

– Tak myślałam – szepnęła i pogładziła mój policzek. – Dobro i szczęście znajdą do ciebie drogę. Czasami trzeba tylko pomóc im odpowiednim drogowskazem.

Przygryzłam usta, aby powstrzymać cisnące się do oczu łzy, i skinęłam głową.

Do domu cioci pędziłam jak na skrzydłach. Uczepiłam się myśli o kamieniu dobroci i powtarzałam sobie, że jeśli go namaluję i zostawię w parku, mama i ja wreszcie będziemy szczęśliwe. Uwolnimy się od niego. Radość i dobro nas odnajdą.

Wieczorem malowałam zawzięcie kamień, ignorując zażartą dyskusję mamy z ciocią. Liczyły się tylko on, farbki i moje gorące modlitwy, aby ktoś go odnalazł i obdarował nas wszystkim, co najlepsze.



Następnego dnia obudziły mnie krzyki. Ciocia Margo brzmiała na wyraźnie podenerwowaną, a mama płakała. Podeszłam na palcach do drzwi i uchyliłam je lekko. Przez wąską szparę dostrzegłam mamę – siedziała przy kuchennym stole i zasłaniała twarz dłońmi. Brązowe włosy miała potargane.

– Patricia, błagam cię. Jeszcze nie jest za późno. Idź z tym na policję. Jeśli nie dla siebie, zrób to dla Jamie. Pomyśl, jak ona cierpi – przekonywała ciocia.

Ścisnęłam Pana Wąsika. W uszach słyszałam bicie swojego serca.

– Nie dam sobie rady bez Jake’a. Nie pracuję, nie mam ubezpieczenia, dom jest na niego... – Mama zanosła się płaczem.

– Masz mnie.

– Odbiorą mi Jamie, Margo! – Krzyk mamy sprawił, że po plecach przebiegł mi dreszcz. – Znasz Jake’a, wiesz, jak potrafi czarować słowem.

– Patty, proszę cię. Nie pozwól, by on cię zastraszał. – Ciocia usiadła koło mamy i złapała ją za rękę.

Błagałam w duchu, by mama jej posłuchała. Nie mogliśmy tam wrócić.

– Zmieni się. Rozmawiałam z nim. Powiedział, że koniec z piciem.

– I wierzysz mu?! – W tym pytaniu było słychać złość i rozpacz. – Przecież wiesz, że to bzdura! Patty, błagam cię. – Ciocia wstała i zaczęła chodzić po kuchni. – Pójdziemy razem na policję. Pomogę ci. Będę świadczyć...

– Nie. Już rozmawiałam z Jakiem. Ma po nas przyjechać przed południem.

Słowa mamy sprawiły, że gardło ścisnęło mi się boleśnie.

– Nie, nie, nie... Nie wróć tam. Nie wróć... – jęknęłam płacząco, ściskając Pana Wąsika.

Złapałam za leżące na krześle spodnie i szybko je na siebie naciągnęłam. Upewniłam się, że w kieszeni mam pomalowany kamień, a także kartkę i długopis. Korzystając z tego, że ciocia i mama były pochłonięte sobą, wymknęłam się z pokoju i szybko wypadłam na klatkę schodową. Zbiegałam w pośpiechu po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Po policzkach płynęły mi łzy, co tylko jeszcze bardziej mnie denerwowało. Miałam już przez niego nie płakać. Miałam już nigdy więcej go nie zobaczyć. Miałśmy być wolne.

Gdy przebiegałam przez pobliską ulicę, zdawało mi się, że słyszę, jak ktoś zawołał moje imię, ale się nie obróciłam. Minęłam bramę parku, skręciłam w lewo i skierowałam się do miejsca obok niewielkiego stawu, tam gdzie wczoraj zaprowadziła mnie ciocia. Ręce mi drżały, gdy kładłam kolorowy kamień pod postawnym drzewem. Zdyszana, nakreśliłam parę słów na kartce, a potem wzdrygnęłam się, bo znów usłyszałam swoje imię.

Nie wołała mnie ani mama, ani ciocia.

Wołał mnie on.

– Jamie, co ty sobie myślisz, do cholery?! – krzyknął, a ja cofnęłam się o krok. – W tej chwili tu przyjdź!

Odetchnęłam płytko i spojrzałam ze strachem na ściągniętą gniewem twarz mężczyzny. Jego brązowe oczy rzucały niema groźbę – wiedziałam, że nie zawaha się wymierzyć mi kary, gdy wrócimy do domu.

– Jamie! – zawołał ostrzegawczo.

Ścisnęłam Pana Wąsika, a potem szybko położyłam go koło kamienia.

– Wrócisz do mnie, obiecuję – szepnęłam. – I będziemy szczęśliwi.

– Jamie, nie każ mi tam podchodzić!

Skinęłam głowę i ruszyłam ku niemu pospiesznie. Przymknęłam oczy, gdy jego dłoń się uniosła. Nie uderzył mnie – zamiast tego pchnął w mało delikatny sposób ku wyjściu z parku i warknął pod nosem:





– Same problemy z wami. Jaka matka, taka córka...

Szłam z mocno bijącym sercem i poczuciem zdrady. Miałyśmy już nigdy do niego nie wrócić. Miałyśmy być wolne.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca